

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

21

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, czem to wytłumaczyć, dość, że się stało i ja muszę oddać rękę temu, którym ostatecznie gardzę, bo cokolwiek on mówi na swoją obronę w sprawie owych skarbów, jest prostym kłamstwem. A jednak muszę, muszę zostać jego żoną, będąc już jego kochanką...

Ślub nasz ma się odbyć w Krakowie, dokąd za trzy dni wyjeżdżamy, boć przecie, jak to chce dziadunio, nie można dokonać tego obrzędu w klasztorze Świętokrzyskim, gdzieby zaraz poznano mnicha Gwidona. Argumentom, przytoczonym przez pana Tomasza, że skoro Kraków dostał się w ręce naszych wojsk i księcia Józefa, protektora naszego małżeństwa, wypada, aby ślub odbył się w jego i towarzyszków pana Tomasza obecności, dziadunio uległ, acz z wyraźną niechęcią. Niechęć tę zresztą mój drogi, zacny opiekun na każdym kroku okazuje mniemanemu panu Dolabelli. Kilkakrotnie przemawiał do mnie, abym stosunek ten zerwała, a przynajmniej odwlekła, ale czyż ja mogę to uczynić, Boże mój, czy ja mogę to uczynić? O! gdyby dziadunio wiedział, gdyby wiedział wszystko!

Jestem nadzwyczajnie niespokojna, pełna nieopisanej trwogi, którą jednak przed wszystkimi ukrywać muszę i okazywać twarz wypogodzoną, a nawet wesołą, kiedy dusza moja drży z obawy i krwawymi zalewa się łzami. Bo skoro ja poznałam, że pod postacią kawalera Dolabelli ukrywa się zbiegły z klasztoru mnich Gwido, to czyż tego inni poznać nie mogą, a zwłaszcza bystre, przenikliwe oczy Hortensyi? Widzę, czuję to, że ona się czegoś domyśla, że śledzi mnie i pana Tomasza podejrziwymi oczami, zadaje niekiedy pytania, które zbywać muszę śmiechem, kłamać, udawać szczęśliwą. I to wszystko ja, Julia Dziaduska, czynić muszę! O nieszczęśliwy cień mej praprababki, ciebie podejrzewano o krok błędny, któregoś nie zrobiła i ukarano cię za to śmiercią okrutną, a ja, ja, na jakąś karę zasługuję, kiedy właśnie ten fatalny krok zrobiłam? Ale czyż ja jestem winna temu, czy jestem winna? Boże, który widzisz głąb mego serca, sąż mi i karz, jeżeli zasłużyłam. Czyż zresztą może być większa, cięższa kara dla mnie nad to, że całe życie moje mam spędzić z człowiekiem, który dopuścił się ohydnej kradzieży i przybrał cudze nazwisko?

A może się to wszystko wyda, co będzie wtedy? Jego wezmą do więzienia, a ja... ja zostanę na zawsze zhańbiona! Drzę na samą myśl o tem, a przecież to tak łatwo wydać się może. Nie mówię już o Hortensyi, bo ta ostatecznie, nawet gdyby się dowiedziała, jestem pewna, żeby milczała, ale dziadunio! Wszak niedawno, jak wczoraj, rzekł mi, że w moim narzeczonym widzi dziwne podobieństwo do zbiegłego mnicha Gwidona. Słowa te wstrząsnęły mię do głębi, śmiertelny dreszcz mię ogarnął, a jednak musiałam się roześmiać i powiedzieć, że dziwne i zabawne myśli dziaduniowi przychodzą do głowy.

Ale i mnie nawiedzają dziwne myśli. Naprawdę pytam pana Tomasza, gdzie się zetknął z kawalerem Dolabellą, skąd dostał jego papiery, bo posiada je wszystkie w porządku; odpowiada mi na to półsłówkami i niejasno. Twierdzi, że kawaler zginął i że on, pan Tomasz, był przytem obecny, że wtedy zaraz, dla uzyskania mej ręki, powziął myśl przybrania nazwiska kawalera i dlatego zabrał mantelzak pana Dolabelli z dokumentami. Może tak było, a może i nie, ten człowiek, który dopuścił się kradzieży, który potrafił uwieść w mej osobie niewinną dziewczynę, nieznającą ohydy życia, gotów jest dopuścić się wszystkiego. I ja takiego człowieka mam zostać żoną! Boże, zlituj się nademną, weź mnie w swą opiekę, bo chyba oszaleję, chyba życie sobie odbiorę, bo chwilami taki mnie wstyd, taka rozpacz ogarnia, że pragnę śmierci, jak zbawienia, jako jedyne wyjście z okropnego mego położenia.

O! słysząc jego kroki na korytarzu, puka do moich drzwi... idę mu otworzyć, bo nie mogę inaczej, bo krew falą bije mi do głowy...

XVI.

Hortensya do pani Campanne w Paryżu (*).

Kraków, le 30 Juillet 1809.

Moja droga pani!

Spieszę z doniesieniem Ci, droga pani, ostatecznego ustalenia się losu twej uczennicy, a mojej przyjaciółki, Julii Dziaduskiej. Zapewne zdziwisz się, wyczytawszy w nagłówku tego listu nazwę miejsca, z którego do Ciebie piszę. Tak, jestem w Krakowie, wiecznej stolicy polskiej, gdzie zastałam całą naszą waleczną armię wraz z księciem Józefem, bohaterem tej wojny i gdzie także przebywa mój papa.

Zdaje mi się, że pisałam ci, iż w Zamkowej Woli, dokąd pojechałam z Kielc dla zobaczenia się z Julią, postanowiono na wyraźne żądanie kawalera de Dolabella, aby ślub odbył się w Krakowie. Żądanie to wydało mi się zupełnie usprawiedliwionem, na co i Ty, droga Pani, się zgodzisz, gdy powiem, że kawaler jest oficerem wojska polskiego, ulubieńcem księcia Józefa i że dlatego pragnął, aby w tak ważnym dniu jego życia miał przy sobie swego Wodza Naczelnego, którego wstawiennictwo głównie się przyczyniło do tak szczęśliwego (jeżeli małżeństwo wogóle można uważać za szczęśliwe) zakończenia tego romansu. Popierałam go w tym względzie i ostatecznie pomimo oporu dziadunia Julii, przedpotopowego mamuta, który koniecznie chciał, aby ślub odbył się w starożytnym klasztorze Benedyktynskim na Łysej Górze, od Zamkowej Woli o parę mil oddalonym, postawiliśmy na swoim.

Z całą tedy kawalkatą sług, powozów, niezliczoną ilością pakunków, ruszyliśmy do Krakowa, dokąd przodem pojechał pan Dolabella dla uczynienia koniecznych przygotowań i najęcia mieszkania, o co było niełatwo ze względu na nasze wojsko, bawiące w tem mieście i na ogromny zjazd obywatelstwa ze wszystkich krańców dawnej Polski. Wleliśmy się powoli po okropnych drogach, wśród borów i gór i nieznośnych upałów lipcowych, tak, że moja pieć, która taką zazdrość budziła z powodu swej świeżości we wszystkich znajomych mi damach, uległa opaleniu i musiałam po przyjeździe do Krakowa nie wychodzić przez kilka dni z mieszkania i używać różnych maści i omywać śmietaną kwaśną, by jej dawny blask przywrócić, co mi się w części, na wielką moją radość, udało.

Podróż naszą, trwającą całe dwa dni, przyczem noc przepędziliśmy w ohydnej karczmie żydowskiej w jakimś miasteczku, była nudna i męcząca. Przyczyniło się do tego bardzo wiele dziwne usposobienie Julii. Droga pani, znałaś ją zawsze jako panienkę wesołą, śmiejącą się, gotową do wszelkich figlów. Ah! gdybyś ją teraz zobaczyła, nigdy nie poznałabyś w niej dawnej swawolnej Julii. Jej dyabelska piękność, która zachwycała zawsze mężczyzn (a nawet, powiem w nawiasie, o czem droga pani wie dobrze, nie była obojętną naszemu kochanemu abbé Constant). straciła wiele na swym dawnym uroku. Poblądła, schudła, cudowne, aksamitne, mieniące się w szafir oczy, zamglily się i ciągle są zaczerwienione od nieustannego płaczu, a nawet, powiem Ci w sekrecie, droga pani, kbić jej tak powiewna, tak zgrabna dawniej, uległa jakiemuś niewytłumaczalnemu dla mnie przeobrażeniu. Co to wszystko znaczy, nie wiem, a przypuszczeń moich nie chcę powierzać listowi. Najdziwniejszem jest to, że zamiast cieszyć się, iż nakoniec łączy się związek małżeński z ukochanym mężczyzną, Julia przez całą drogę płakała, ciężko wdychała, była niewypowiedzianie smutną, a na moje pytania odpowiadała mi niezręcznymi półsłówkami. Możesz sobie, droga pani, wyobrazić, jak nudną, jak męczącą dla mnie była ta droga wobec potoku łez, wylewanych przez mą przyjaciółkę i wobec jej rozpaczliwie melancholijnego usposobienia.

Ale jeżeli nierozwiązaną dla mnie zagadką było zachowanie się Julii i uderzająca zmiana w jej usposobieniu, niemniej dziwne czekały nas wiadomości w Krakowie. Przedewszystkiem kawaler Dolabella, który w Zamkowej Woli, między innymi, dlatego nie chciał, by ślub odbył się w kościele Benedyktynskim na Łysej Górze, że z natury rzeczy musiałby być cichym, bez blasku i świetnego otoczenia, które obiecywał sobie i zapewniał nawet, że w Krakowie będzie mu towarzyszył orszak z samego księcia Wodza Naczelnego i mnóstwa oficerów, co niezwykle upiśkniejszy i uświetni tę uroczystość. Dlatego też i ja popierałam jego żądanie, bo obiecywałam sobie, że zaćmię moją toaletą paryską wszystkie damy i niejedno serce męskie wzruszę (daruj mi, droga pani, tę próżność, usprawiedliwioną

w moim wieku), czego oczywiście spodziewać się nie mogłam w jakimś prowincjonalnym kościele i do tego na Łysej Górze! Tymczasem, o! droga pani, (jakże zawodne są ludzkie nadzieje!) kawaler w Krakowie występuje z propozycją, ażeby ślub odbył się rano, cicho, w zwyczajnych strojach spacerowych, w jakimś samotnym kościółku na Kleparzu (tak dziwacznie nazywa się jedno z przedmieść Krakowa) i żeby na wesele nikogo nie prosić. Skamieniałam i oburzyłam się bardzo i tym razem gorąco popierałam dziadunia Julii, przedpotopowego mamuta, który wpadł w gniew wielki, za nic na to nie chciał się zgodzić i krzyczał (bo okropnie krzyczy) że jego wnuczka jest Dziaduską, że sroce z pod ogona nie wypadła (wybacz, droga pani, to prawdziwie polskie, barbarzyńskie i nieprzyzwoite wyrażenie), że ślub powinien być w katedrze na Wawelu, bo stać na to Dziaduski, że pół Krakowa i połowa wojska polskiego winna być jego świadkiem i tym podobne, zdaniem mojem bardzo uzasadnione, wygłaszał zdania. Popierałam go, jak mogłam, ale cóż zrobić z uporem niewieścim, o którym nam tak ładnie zawsze mówił kochany abbé Constant? Julia się uparła i w rezultacie, na wielkie moje i dziadunia zmartwienie, postawiła na swoim.

Na ślubie, który się odbył wczoraj, bardzo wczesnym rankiem, bo o godzinie 8 ej, w jakimś starym, zapadłym, wilgotnym i ponurym kościele na Kleparzu, oprócz mnie, służącej Zuzi, której figura zniekształcona potwornie, skandalicznie wyglądała, dziadunia i paru jakichś mężczyzn o fizyognomiach pospolitych i podejrzanym, nikogo więcej nie było. Julia w swej prostej, jedwabnej sukience źle wyglądała i płakała, płakała nieustannie. Nic bardziej smutnego nad ten ślub nie widziałam. Dawał go jakiś zakonnik, z kapturem na głowie, którą trzymał mocno schyloną, tak, że z powodu tego kaptura i zmroku, panującego w bocznej, pozbawionej okien kapliczce, twarzy jego rozpoznać nie mogłam. Wszyscy byli zresztą milczący, smutni, skwaszeni, a stary dziadunio-mamut miał łzy w oczach, co mię, przynajmniej, tak wzruszyło, że i ja się rozplakałam i mam dziś czerwone oczy, co mię bardzo martwi, bo wieczorem mam być na pikniku, mającym się odbyć za miastem...

Zapewne jesteś, droga pani, bardzo ciekawa poznać moje wnioski, jakie z całego tego osobliwszego przebiegu wypadków wyprowadzam. Przyznaję, że mój umysł oddawna pracuje nad rozwiązaniem zagadek i tajemnic, okrywających ten dziwny romans i dziwniejsze jego zakończenie. Ale nie śmiem, nie chcę powierzać tego papierowi. Jak się zobaczymy w Paryżu, bo usilnie dążę do tego, by nudną, barbarzyńską Polskę porzucić, co może mi się niedługo uda zrobić, to ci, droga pani, wszystko opowiem. Czy to jednak będzie prawdą, nie wiem, bo choć, droga pani, chwaliś moją bystrość i przenikliwość (a może zbyt pochlebne masz o niej wyobrażenie), wszelako wiele ciemnych i niezbadanych stron widzę w tych wypadkach. Tu, to tylko nadmienię, że według słów mego papy, wśród wojska o kawalerze Dolabelli od niejakiego czasu bardzo niepochlebne obiegają wieści, że wieści te do pewnego stopnia muszą mieć jakąś podstawę, skoro zaraz po jego przybyciu do Krakowa wezwany został do jakiegoś tam sztabu, gdzie mu kazano natychmiast podać się do dymisji. Czy Julia i jej dziadunio wiedzieli o tem, nie mogę powiedzieć, to tylko jest faktem, co mię także niepomierne zdziwiło, że kawaler Dolabella brał ślub, ubrany w cywilne suknie, w których wyglądał brzydko i niezgrabnie.

Państwo młodzi dziś mają wyjechać z Krakowa do dóbr kawalera, gdzieś tam w Karpatach położonych, już w Galicji austriackiej. Nie piszę więcej, droga pani, bo spieszę muszę na przykrą scenę pożegnania się z Julią. Znowu będzie dużo płaczu i moje oczy jeszcze bardziej się zaczerwienią, ale trudno, cóż robić? Jutro, droga pani, opiszę ci tę scenę, oraz to wszystko, o czem się dowiem, bo mię ciekawość dręczy zbadać, dlaczego, z jakiego powodu dano dymisy kawalerowi Dolabelli z wojska, co przecież nie jest zaszczytem, ale, powiedziałabym, hańbą. Tem więcej pragnę się o tem dowiedzieć, bo mi idzie o biedną Julię, która wprawdzie nie okazywała mi dawnej szczerości, ukrywała coś przedemną, co mię obrażało, przytem zbrzydła, co w jej wieku jest rzeczą gorszą od błędu, wszakże z uwagi na dawną naszą przyjaźń los jej obchodzi mię mocno.

Kończę, bo powóz czeka na mnie.

Tysiąc pocałunków, droga pani

Toute à vous

Hortence.

*) List pisany po francusku.

(Przyp. autora).